

Monika Ploch

dyrektorka katolickiego przedszkola St. Raphael we Frankfurcie nad Menem

„Buda szkoła nasza, a na czele nasza klasa”

Nasza klasa to klasa humanistyczna (h) rocznik 1982-86, 26 osób w tym 20 dziewcząt i 6 chłopaków. Naszym wychowawcą był profesor Janusz Nowak.

O wybraniu tego ogólniaka zdecydował profil humanistyczny i chyba też to, że mój ojciec też był jego absolwentem, a moja mama kończyła szkołę wieczorową w tym budynku. Stary budynek z długimi ciemnymi korytarzami utkwiał mi w pamięci przy oddawaniu moich papierów w sekretariacie. Pisemne egzaminy wstępne i od razu egzamin poprawkowy z matematyki u profesora Hüttera były następnym etapem. Nasza klasa była pierwszą, w której przerwano długoletnią tradycję i wprowadzono język francuski jako drugi język obcy. Nauczała go profesor Wanda Goc. Oczywiście w tamtych latach obowiązkowym pierwszym językiem obcym był rosyjski. Nas nauczał go profesor Eugeniusz Radecki. Do tych języków dochodziła obowiązkowa łacina, z profesorem Ambrożym Amborskim, polskiego nauczał nas profesor Janusz Nowak. Wraz z lekcjami historii profesora Benedykta Motyki tworzyły one podstawy tego profilu.

Nie byliśmy zgraną klasą. Pokazała to wycieczka do Krakowa. Byliśmy na sztuce „Życie jest snem” P. Calderona de la Barcy, która nam się podobała i była dla nas zrozumiała. Gorzej poszło nam w Galerii Teatru Cricot. Rekwizyty teatralne, umieszczone między innymi na podłodze, zwróciły uwagę kolegów, którzy zaczęli je po prostu usuwać z przejścia. Zrobiło się zamieszanie, bo takich obiektów nie wolno było dotykać, a tym bardziej przestawiać.

Profesor Nowak świecił za nas oczami, a potem wygłosił nam niezłą przemowę. Postawił w niej także ultimatum: dopóki klasa się nie zintegruje (kiedyś mówiło się po prostu „zgra”), nie będzie żadnej wspólnej wycieczki. Słowa dotrzymał: na lekcjach wychowawczych nie było mowy o jakiegokolwiek klasowej wycieczce, więc nasza klasa sama takową zorganizowała. Wycieczka: to był dwudniowy biwak z oficjalnym pozwoleniem leśniczego regionu Szymocic. Pod dwoma namiotami (jeden dla dziewcząt, drugi dla chłopaków) biwakowała połowa klasy. Jedni nocowali, inni byli tam tylko za dnia. Niewiele spaliśmy, za to świetnie się bawiliśmy, paliliśmy ognisko przez całą noc, piliśmy „brudzia” i zawieraliśmy pakt przyjaźni, które trwają do dziś. Rozmawialiśmy o szkole i planach na przyszłość, rozwiązywaliśmy popularne wtedy zagadki, ktoś „mówił” po węgiersku.

Oczywiście o tej eskapadzie nie wiedział ani nasz wychowawca, ani żaden z rodziców z Komitetu Rodzicielskiego, a to właśnie oni byli w moim przypadku (tak nałgałam moim

rodzicom) organizatorami tego biwaku. Moi rodzice nie dopytywali o szczegóły organizacyjne. Nikt nas nie kontrolował, nie przyjeżdżał na miejsce, ani nie wydzwaniał bez przerwy z pytaniami, co robimy, bo telefonów komórkowych wtedy po prostu nie było. Chyba byli zadowoleni, że ta wycieczka klasowa odbyła się tak niskim kosztem.

Obecni wtedy uczniowie nie tylko zorganizowali wspaniały biwak, ale przede wszystkim się zintegrowali. Do takiego wniosku doszedł również nasz wychowawca, bo zaczął z nami omawiać plany wycieczki do Zakopanego. Z tej wyprawy pozostały mi różne wspomnienia, między innymi przejażdżka dorożką, zwiedzanie Muzeum Lenina w Poroninie oraz „pierwsze klasowe zdjęcie”. (A tak, aparatów fotograficznych też nie mieliśmy. Z wycieczki do Krakowa i z biwaku nie mamy żadnych zdjęć.)

Kolejną wycieczkę zaliczyliśmy w grudniu pojechaliśmy do Warszawy. I chociaż nie był to „wesoły autobus”, bo jechaliśmy pociągiem, to w niektórych przedziałach przez całą noc było wesoło. Nic dziwnego, że po nieprzespanej nocy, w Teatrze na „Weselu” Wyspiańskiego, w aranżacji „bez muzyki”, kilka osób się zdrzemnęło. Poza tym atmosfera w Warszawie była napięta, bo zbliżała się rocznica 13 grudnia 1981 roku. Wzmoczone patrole wojskowe i obecność milicji były widoczne. A my, całą klasą, jak gdyby nigdy nic, poszliśmy wraz z profesorem Nowakiem na grób błogosławionego Jerzego Popiełuszki wtedy „tylko” zamordowanego księdza opozycjonisty. Zaplanowana była także druga sztuka teatralna, ale zdjęto ją z afisza (prawdopodobnie miała w oczach cenzorów zbyt wiele aktualnych politycznych wątków). Na zarezerwowane bilety mogliśmy pójść do innego teatru na inną sztukę. Wątek śmierci J.P. Marata i narastający z nią dramat rozwijał się na scenie i na widowni, bo do teatru nie przyszło dwóch kolegów. Nikt z nas nie wiedział dlaczego. Coś im się stało, coś nabroili, zgarnęli ich na 24 godziny, gdzie są, gdzie ich szukać? Zjawili się na dworcu tuż przed odjazdem pociągu do Raciborza, a do teatru nie doszli, bo nie dotarła do nich wiadomość o zmianie teatru i programu. Naszemu posiwiątemu profesorowi widocznie ulżyło, a koledzy na własnej skórze całą powrotną drogę odczuli skutki ostracyzmu konsekwentnie praktykowanego przez resztę klasy.

Szkoła to nie tylko wycieczki, przede wszystkim to nauka lub jej unikanie. Żeby móc taniej pojechać na klasowe wycieczki, zbieraliśmy jesienią jabłka w Rudniku. Zbieralibyśmy cokolwiek, byleby legalnie nie pójść na lekcje.

Na wagary chodziło się raczej pojedynczo, ale były też wyjątki. Do nich należały lekcje biologii z profesorem Knauerem. Profesor potrafił regularnie się zapomnieć i w nerwach odpytywać całą klasę jak leci. Szczytem takiej lekcji był temat „Rozwój pleśniaka białego”. Jakoś tego rozwoju nie umieliśmy opisać i nie odpowiadaliśmy zadowolająco na pytania

profesora. Dwudziestu uczniów w ciągu 45 minut dostało po dwie dwójki, ale dwie osoby były przygotowane i dostały tylko jedną dwójkę. Na następnej lekcji biologii dziesięć osób było na lekcji, a dziesięć siedziało w szatni. Wpierw szczegółowo omówiono, kto przyjdzie, a kto siedzi w szatni. Tym systemem jechaliśmy tak długo, aż dostaliśmy nową biolożkę i w końcu znów chodziliśmy w komplecie na lekcje biologii.

W szatni, zwłaszcza zimą, chętnie się siedziało i czekało na kolejną lekcję. Przed wejściem do szatni siedziało zawsze dwóch dyżurnych, którzy pilnowali, żeby jacyś obcy tam nie weszli i nie ukradli kurtek i płaszczy. Zawsze można było z nimi porozmawiać.

Za to w ubikacjach na parterze przez cały rok przesiadywali palacze. Frekwencja była zmienna; czasem przeprowadzano tam „naloty”, po których robiło się luźniej. Od czasu do czasu przypominano, że w szkole obowiązuje zakaz palenia papierosów. Jednak zasada ta nie dotyczyła profesor Wandy Goc, która oficjalnie, podczas przerwy między dwiema lekcjami francuskiego, wychodziła na korytarz przed swoją klasę, otwierała okno, wyciągała lufkę, wkładała do niej papierosa i z przyjemnością zaciągała się dymem. Nikt nie oburzał się na Madam, nikt się nie skarżył...

Nasza klasa była w tym okresie jedyną klasą zagrożoną rozwiązaniem. Powodem była łacina, a raczej jej niedobory. Zagrożonych niedopuszczeniem do kolejnej klasy było chyba 12 osób. Więc oficjalnie zatwierdzono nam dodatkowe lekcje łaciny, które były obowiązkowe dla całej klasy i wpisane do planu lekcji. Profesor Amborski miał poza tym prawo każde nasze „okienko” zapełnić łaciną. Z tego prawa korzystał konsekwentnie, więc aby nie mieć czwartej dodatkowej lekcji łaciny, chowaliśmy się przed nim w szatni, sali gimnastycznej lub na korytarzach: jak on był na pierwszym piętrze, to my byliśmy na drugim. On wchodził na drugie piętro, to my sprintem drugim końcem korytarza biegliśmy na pierwsze. Taka łacińska ciuciubabka trwała ponad pół roku (w drugiej klasie).

Również lekcje geografii zapisały się różnie w pamięci naszej klasy. O profesor E. Majewskiej i jej zachowaniu na zajęciach krążyły opowieści rodem z filmów Alfreda Hitchcocka: miała swoje „ulubione ofiary”, które odpytuje przez cały rok, nie lubiła dziewcząt noszących biżuterię i ubierających się na zielono, lubiła robić kartkówki bez zapowiedzi itd. Coś w tym było, bo na jej lekcjach często panowała atmosfera grozy. W naszej klasie zdarzały się też zaplanowane prowokacje: jedna z dziewcząt regularnie i celowo przychodziła na jej lekcje ubrana na zielono. Profesor Majewska miała jogromną wiedzę, którą potrafiła przekazać i skutecznie egzekwować. Wraz z jednym z naszych kolegów zajęła wysokie miejsce w Ogólnopolskiej Olimpiadzie Geograficznej. A ja, przez jeden semestr jej „ofiara”, sądzę, że posiadam solidną wiedzę z zakresu geografii.

Muszę też wspomnieć o niezliczonych lekcjach historii z profesorem B. Motyką. Kilka osób należało do jego kadry, choć nie udało im się zakwalifikować do Ogólnopolskiej Olimpiady Historycznej. Napoleon i jego epoka były ulubionym okresem profesora, dlatego też często wybieraliśmy tę tematykę jako „lekturę karną”. Gdy czegoś nie umieliśmy lub coś przeskrobaliśmy, musieliśmy zdawać 100 lub 200 stron dowolnej lektury historycznej. Kandydaci byli losowani przez profesora. A same lekcje były zawsze interesujące. Czasem wpadał do klasy i w niekonwencjonalny sposób zaczynał temat. Historię starożytną rozpoczął od retorycznego pytania: „Wiecie, że Sokrates był gejem? Zresztą, oni wszyscy byli...” W klasie zapadła cisza jak makiem zasiał. Oczywiście, słyszeliśmy też od niego o napaści Rosji na Polskę we wrześniu 1939 roku, o zamordowanych Polakach w Katyniu i o wielu innych faktach historycznych, których przez długie lata nie wolno było nauczać.

Lekcje języka polskiego i lekcje wychowawcze (czasem zamiennie) mieliśmy z profesorem J. Nowakiem. Byliśmy jego pierwszymi „wychowankami” i całkiem nieźle nas wychowywał. Czasami jedna lekcja nie wystarczała na wychowawcze dyskusje, więc były one przenoszone na lekcje polskiego. Przez te cztery lata dyskutowaliśmy o wielu sprawach: szkolnych, politycznych i dotyczących naszej przyszłości. O tym, że nie ma „mniejszego zła”, ale czasem trzeba dokonywać wyborów lub iść na kompromis. „Obyś żył w ciekawych czasach...” My żyliśmy. Formalnie wciąż obowiązywał stan wojenny, a Jan Paweł II przyjeżdżał na drugą pielgrzymkę do Polski (czerwiec 1983). Profesor nie tylko uświadamiał nam znaczenie tego wydarzenia, ale wręcz namawiał do wyjazdu na spotkanie z papieżem do Katowic lub na Górę Świętej Anny, mówiąc ogólnikowo, że na takie wagary przymknie oko.

Na lekcjach polskiego przerabialiśmy także niestandardowe lektury. Wśród nich była między innymi Księga Hioba z Biblii, oczywiście wiersze naszego nowego noblisty Czesława Miłosza, a także „Mistrz i Małgorzata” Michaiła Bułhakowa. W klasie mogliśmy robić gazetki na dowolny temat. Ja przygotowałam gazetkę o Władimirze Wysockim i Bułacie Okudźawie; dwóch rosyjskich bardach, których twórczość zaczęto wtedy ponownie publikować.

Po drugiej klasie jedna z koleżanek wyprowadziła się do Warszawy. Rok później spędzała u mnie letnie wakacje. Z tej okazji zorganizowaliśmy u mnie w ogrodzie spotkanie klasowe, na które zaprosiłam również naszego wychowawcę. Jakie było zdziwienie reszty klasy, gdy profesor rzeczywiście pojawił się na tym spotkaniu! Rok później znów przyszedł na takie „prywatne” spotkanie. Wtedy wymusiliśmy na nim przyrzeczenie, że po maturze wypijemy „brudzia” i przejdziemy na „ty”. Słowa dotrzymać nie mógł, bo do kolejnego wspólnego spotkania już nie doszło

Uczniowie z naszej klasy śpiewali w chórze pod batutą profesora Piotra Libery, występowali i recytowali wiersze w Teatrze „Eleusis” J. Nowaka, byli w kadrze historycznej B. Motyki i jego „Kabarecie”, a jeden z kolegów zapewnił sobie miejsce na studiach w trzeciej klasie, jeszcze przed maturą wysoko się klasyfikując w XI Olimpiadzie Geograficznej.

Na spotkaniach klasowych organizowanych po latach okazało się, że wiele osób ukończyło studia. Wśród nas jest wielu nauczycieli i pedagogów, ale także psycholog, adwokat, inżynier, dziennikarz, menedżer, niektórzy pracują w resortach związanych z medycyną. O kilku osobach słuch zaginął.

Z pewnością nie byliśmy klasą wybitną, ale uczęszczały do niej nietuzinkowe osobowości. Nasza szkoła i profesorowie, którzy ją tworzyli, byli również wyjątkowi. Ukształtowali nas, pokazali, czym jest poświęcenie i entuzjazm, dali nam lekcje patriotyzmu. W przyszłym roku minie 40 lat od naszej matury. Wielu moich profesorów już nie żyje, dlatego uważam, że akcja „Wspomnienia” jest pięknym hołdem i wyrazem wdzięczności za to, że dla nas byli.

Od wielu lat mieszkam w Niemczech. Na Uniwersytecie imienia J. W. Goethego we Frankfurcie ukończyłam studia nauczycielskie: historię, (choć nigdy w kadrze profesora Motyki nie byłam) i język niemiecki, a także pedagogikę. Miałam kontakt z wieloma studentami, którzy zdawali maturę w różnych polskich miastach i obcych krajach. I muszę powiedzieć, że nigdy nie musiałam się wstydzić za poziom mojego wykształcenia; nawet łacinę na studiach zaliczyłam.